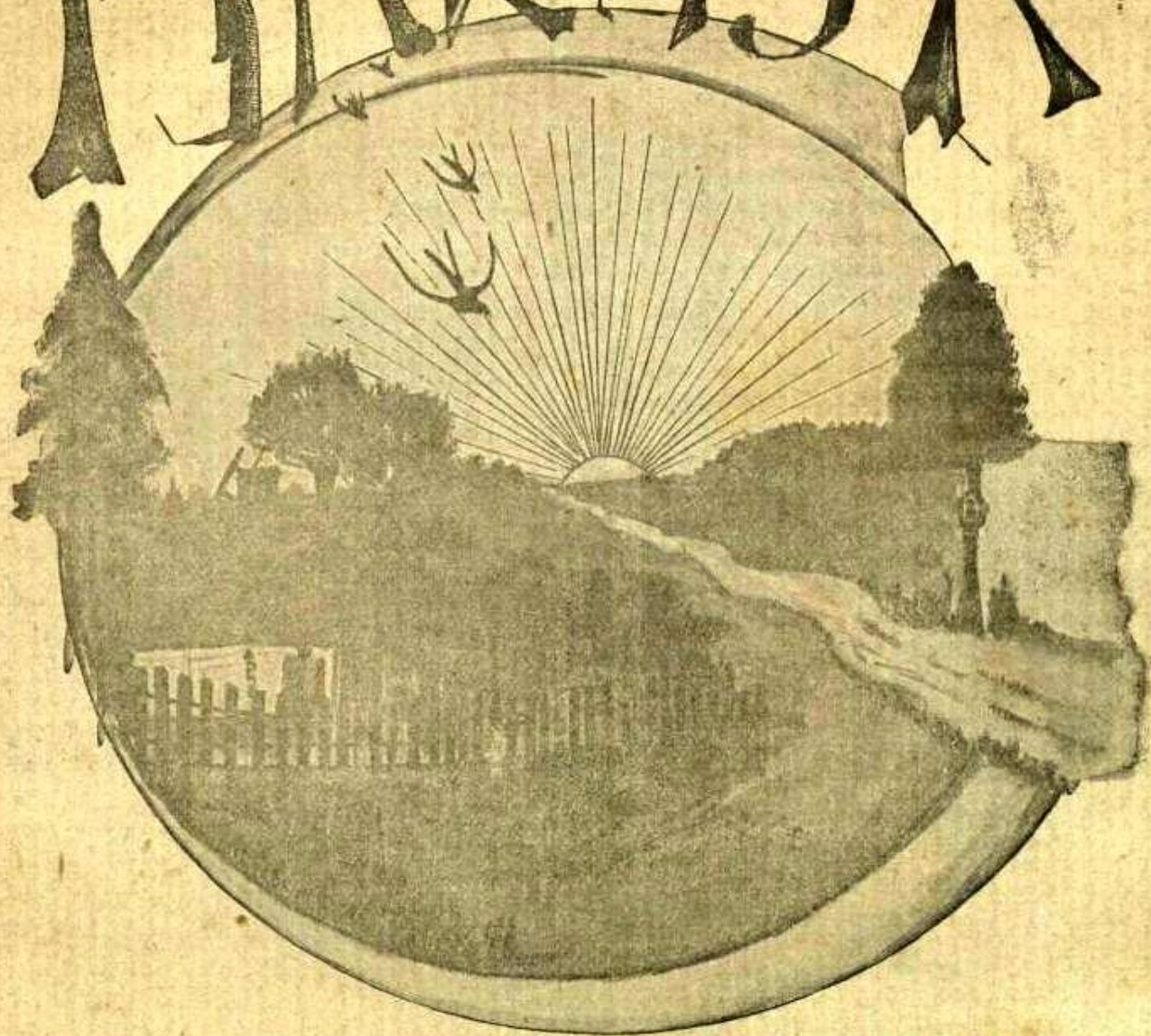


BRZĄSK



Dwumiesięcznik uczennic Semi
narjum Naucz. i Gimnazjum
w Marjówce

PIERWSZE KROKI NA ŚLĄSKU.

„Piękna nasza Polska cała...” śpiewamy w piosence, ale chyba najpiękniejszy i najpożyteczniejszy jako przemysłowa kraina jest Śląsk. Pojechaliśmy przeto, by go poznać. Spodziewaliśmy się wiele, ale to, co zobaczyliśmy, przeszło nasze oczekiwania. Śląsk jest piękny, a jego mieszkańcy... Widok ludu śląskiego, modlącego się gorliwie podczas majowego nabożeństwa, nasunął nam szereg refleksyj. Dusza Ślązaka ukazała się nam w całej wspaniałości — miłująca, szczerą i gorącą. Jadąc tu, mieliśmy dość dużo wiadomości, głównie z książek Morcinka, teraz dodaliśmy do tego nasze spostrzeżenia. Nie było trudno je zrobić, skoro przewodnikiem naszym był Ks. Prałat Ściskała, a tu, w Katowicach poznałyśmy przedobrego Ks. Proboszcza Ścigale. Wiemy teraz, że Ślązak kocha nad wszystko Boga, Polskę i Śląsk i nigdy nie pozwoli, aby mu te trzy dla niego najświętsze rzeczy odebrano lub znieważono. Dla Polaków z innych dzielnic ma serce i dłonie otwarte. A nade wszystko rzuca się każdemu w oczy dobroć, szczerść i gościnność oraz niezwykła prostota w obęjściu Ślązaków.

W szarej mgle majowego poranka wylaniają się z biegiem pociągu kominy, domy i wreszcie oczom naszym ukazują się Katowice. Oto jesteśmy już na ziemi śląskiej. Wrażenie jest silne. „Jak tam będzie? Czy nie zawiodą nadzieje, jak nas tam przyjmą?” — cisną się na usta pytania. Tymczasem idziemy szerokimi, ludnemi ulicami, po bokach których wznoszą się piękne szare gmachy. Po krótkim odpoczynku i bardzo dobrem śniadaniu, ofiarowanem nam przez Ks. Proboszcza, który nas przyjął serdecznie, prawdziwie po śląsku, idziemy podziękować Panu Bogu za szczęśliwą podróż.

Duży, jasny kościół. Przez kolorowe witraże wpadają promienie słoneczne, oświetlając wnętrze i muskając lekko wierzchołki strzelistych wieżyczek na ołtarzach. Cisza. Z piersi wyrwa się dziękczynna modlitwa: „O, Boże, jakis Ty dobry, żeś pozwolił chwalić Ciebie w tym pięknym kościele na cudnym Śląsku.”

Z wielką wdzięcznością dla Boga i ludzi, że możemy być w tej ślicznej krainie, wychodzimy z kościoła.

Ale nie dosyć naszych zachwytów. Oto najlepszy ks. Prałat, kierownik wycieczki, prowadzi nas do skarbnicy i świątyni nauk, Śląskich Naukowych Zakładów Technicznych. Piękny, olbrzymi, szary blok, wewnątrz najnowocześniejsze urządzenia i prześliczne muzeum przyrodnicze. Cuda, cuda i jeszcze raz cuda. Ptaki, ssaki owady, rośliny, skały i czego tam jeszcze nie było! Zbrakłoby chyba czasu i papieru na ich opisywanie. Same dziwy. Niejedna westchnęła sobie cichutko: „Ach, żeby tak dłużej można oglądać, całego dnia byłoby za mało, aby to wszystko dokładnie obejrzeć.” Ale cóż, czas leci i my musimy iść dalej.

Gmach Województwa Śląskiego. Sala Sejmu. Podjum dla marszałka i mówców, a naokoło krzesła dla posłów. Zaraz wyobraziłyśmy sobie, że oto jest posiedzenie i rozpatruje się jakąś ważną sprawę. Ktoś gorąco przemawia, inni mu przyklaskują lub ganią. Ale pierzchno złudzenie, przechodzimy do muzeum. A tu śliczności. Izby śląskie, wileńskie, krakowskie, łowickie, lalki w strojach ludowych. Aż się oczy śmie-

ją. Dalej wykopaliska, szafy, krzesła, rzeźby w różnych stylach. Każda stara się jak najwięcej zapamiętać, bo to się może przydać i do geografii i do historii, a przytem to takie ładne. Więc mamy na wszystko otwarte oczy z podziwu i zachwytu, co chwilę słysząc wykrzykniki: „Jakie to śliczne. Chodź, popatrz.” Bo rzeczywiście wszystko jest i cudne i śliczne. I te obrazy, malowane przez artystów polskich, i stare rzeźby, stare narzędzia rolnicze, ozdobne wazy, misy, modele, dywany i wogóle wszystko. To też z wielkim żalem opuszczamy Gmach Województwa i przez szerokie, czyste ulice, krzyczące jaskrawością reklam, powracamy do swoich „legowisk”.

Następnego dnia wizyta u Ks. Proboszcza. Jaki on dobry! Zgotował nam zaraz na wstępie serdeczne przyjęcie, ułatwił wycieczkę do Piekar, teraz znów zaprasza na czarną kawę.

Jak miło przechadzać się po ładnych alejkach starannie utrzymywanego ogrodu i zjadać czekoladę. Każda jeszcze chyba dotąd wspomina białą figurę Niepokalanej w grocie i piękne mieszkanie Ks. Proboszcza. Ale przede wszystkim ta miła, kochana postać, ten uśmiech dobroci i serdeczności, te dobre słowa nigdy zapomniane nie będą. Tylko dzięki staraniom Ks. Proboszcza i Ks. Prałata, na Śląsku czuliśmy się jak u siebie w domu i poznałyśmy, jaki jest on prawdziwie. To też najmielsze wspomnienia będą z Katowic, bo tam naprawdę czuliśmy, że jesteśmy na pięknym Śląsku, między najlepszymi ludźmi Polski.

Roma Boduszevska kl. I.

KRÓLESTWO CZARNEGO DIAMENTU.

Dusžno, gorąco, gwar, huk i świst nie do opisania. Ogromne budynki, obszerne hale mieszczą potężne maszyny.

Jesteśmy oszołomione, zdumione...

Kilof i mocne ręce górnika—oto, co wyobrażałyśmy sobie, myśląc o kopalni. Teraz wiemy, że bez tych maszyn wydobywanie węgla jest nie do pomyślenia.

Tu widać wielkie cylindry, w których spręża się powietrze. Siłą tego powietrza wierce się w węglu otwory, w które wkłada się materiały wybuchowe, w celu rozsądzenia pokładu.

Te znów maszyny to ogromne źródła elektryczności, która pędzi wagoniki z cennym węglem wewnątrz kopalni i wyciąga je windą na powierzchnię ziemi. Tu węgiel wsypuje się do innych wagoników, które wędrują do sortowni, gdzie segreguje się go za pomocą odpowiednich sił lub twardych rąk robotnika.

Patrząc na to wszystko, podziwialiśmy porządek, jaki tu panuje. Wszystko ma swoje miejsce i swój czas. Winda nie może spóźnić się choćby o ćwierć sekundy, ani wagonik przyjeść za prędko, gdyż spowodowałoby to zerwanie lin, a co za tem idzie — wypadki i koszty.

To też człowiek, który tem kieruje, musi bardzo uważać, bo jego odpowiedzialność jest wielka.

Zmęczone, spocone, nawpół ogłuszone wyszliśmy na dwór. Mimo

upalnego dnia uderzył nas wielki chłód i cisza, jakie tu panowały. Idziemy teraz ubrać się w „odpowiednie kostjomy”, bo niedługo ruszymy w głąb kopalni. W szarych spodniach i bluzach, przepasanych paskiem, w czapkach lub kapeluszach, z lampkami w rękach maszerowaliśmy po chwili w stronę windy.

Sygnał. Ruszamy! Cóż za okropne uczucie! Zdaje się nam, że lecimy z piorunującą szybkością w straszną, czarną przepaść. Brakuje powietrza... słychać jakieś świsty...

Lecz gdy 500 metrów pod ziemią winda się zatrzymała, żal nam było, że ta niezwykła podróż już się skończyła. Kopalnia była oświetlona elektrycznością, lecz tak słabo, że kazano nam zapalić lampki.

Idziemy gęsiego dość szerokim, murowanym korytarzem, po którym od czasu do czasu przechodzą kolejki, świecąc zdaleka złowieszczemi, roziskrzonymi ślepiami.

Korytarz zwęża się. Ściany już nie są murowane, lecz podparte drewnianymi stemplami, kolejek nie widać. Deski, po których szliśmy dotąd, też się skończyły, więc idziemy po błocie.

Po chwili wchodzimy, a raczej wspinamy się w boczny korytarz. Tu jest jeszcze gorzej: woda leje się ze stropu; chodnikami płyną czarne strumienie; jest duszno. Elektryczności też już niema, więc ciemność rozjaśniają tylko nasze lampki. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego kazano nam się tak ubrać.

Wreszcie woddali ukazują się światelka.

Po chwili dochodzimy do tego miejsca. Słyszymy zgrzyt świdrów, oczom naszym ukazuje się czarna czeluść, a w niej postacie pracujących.

Ubrani są tylko w spodnie, po ciele spływa pot, pomieszany z pyłem węgla. Upodobnieni są do środowiska, w którym pracują — są czarni. W ciemności błyszczą tylko oczy i białe zęby.

„Szczęść Boże!” — mówimy. „Szczęść Boże!” — odpowiadają górnicy. Pragniemy porozmawiać z nimi, udaje się to nam. Tak, przyznają, praca ich jest ciężka, a jednak nie zamieniliby jej na żadną inną; przywiązali się do kopalni.

Po chwili rozległ się stuk kilofów i zgrzyt świdrów. Więc oznajmiono nam, że lepiej się oddalić, bo bardzo często zdarzają się wypadki, że ściana węglowa pęka i obsuwając się, zasypuje wszystkich.

Odeszliśmy, myśląc z żalem o ciężkiej pracy i niebezpieczeństwie, na które są narażeni ci ludzie, a jednak pomimo wszystko są oni weseli i zadowoleni.

Zrozumieliśmy, jak wiele pracy i pieniędzy kosztuje wydobywanie węgla, bez którego nie możemy sobie teraz wyobrazić życia na ziemi.

I pokochałszy jeszcze bardziej Śląsk.

Wreszcie ruszamy w powrotną drogę.

Po chwili winda wywiozła nas z czarnej czeluści kopalni na zalany światłem słonecznym piękny, radosny świat.

Irka Lipkówna kl. III.

W ŚLĄSKIEJ CZĘSTOCHOWIE.

Był śliczny ranek wiosenny, słońce przeglądało się w kropelkach rosy, wszystko tętnęło radością i szczęściem.

Samochód, wiozący nas po tej kochanej, a tak pięknej ziemi śląskiej, rozbrzmiewał śpiewem. Naokoło szumiały złote łany zbóż, wdali widniała droga, wysadzana drzewami.

W pewnej chwili Ks. Proboszcz powiedział nam, że wystarczy przejechać ją, aby znaleźć się w Niemczech: to granica. Z dziwnym uczuciem nienawiści, a zarazem ciekawości patrzyliśmy na ziemię odwiecznego wroga Polski. Widać jeszcze dachy domów po tamtej stronie, potem tylko kominy, wreszcie wszystko zakryła nam górka, koło której przejeżdżaliśmy.

Wkrótce autobus zatrzymał się na jednej z ulic Piekar przed dużym kościołem pod wezwaniem Matki Bożej.

Zapewne każdy słyszał, że w tym niegdyś małym, drewnianym kościółku modlił się przed cudownym obrazem król nasz Władysław Jagiełło; tu prosił Pannę Najświętszą o pomoc Sobieski przed wyprawą wiedeńską; tu wreszcie złożył wyznanie wiary August II. Odślonięto obraz, mieszczący się we wspinałym, marmurowym ołtarzu. Spojrzały na nas miłosierne, kochające oczy Matki Zbawiciela. Śliczne wota, zawieszono koło obrazu, świadczą niezbicie, ile prośb zostało wysłuchanych przez tę Ucieczkę grzeszników.

W zakrystii pokazano nam cenne pamiątki: kielich, ofiarowany przez Sobieskiego i piękną monstrancję, dar księżniczki austriackiej Eleonory, żony Korybuta Wiśniowieckiego.

Przewodnik, stary kościelny, prowadzi nas dalej, udzielając po drodze objaśnień. Każde słowo jego tchnie miłością i przywiązaniem do Śląska i Polski.

Ze wzruszeniem i dumą pokazuje tablice z długim szeregiem poległych w powstaniach śląskich; między nimi są kobiety i 14-letni chłopcy.

Idziemy teraz na Kalwarię Piekarską. W cieniu starych drzew, na rozległej, falistej przestrzeni szereg kapliczek: to stacje Męki Pańskiej. Droga prowadzi nas przez ogród Getsemani na górę, na której, królując nad całemi Piekarami, wznosi się piękny kościół Zmartwychwstania Pańskiego.

Z żalem opuszczaliśmy ten święty, jakby druga Częstochowa, zakątek Polski. W drodze do Tarnowskich Gór zatrzymujemy się w Neudeck, wspaniałej posiadłości najbogatszego z książąt śląskich, niestety, Niemca.

Przez dużą bramę weszliśmy do ogromnego, pięknie utrzymanego parku. W promieniach słońca lśni gładka powierzchnia wody, a na niej pływają śnieżno-białe łabędzie; pochylone drzewo dotyka swemi gałęziami kryształowej tafli, przeglądając się w niej jak w lustrze; wokół rozciągają się zielone kobierce trawników. W głębi wznosi się wielki pałac, zbudowany na wzór Wersalu. Zwiedzić wnętrza gmachu nie można jednak, gdyż jest zamieszkały przez właścicieli. Zrobiliśmy zdjęcie w cieniu rozłożystego dębu i wróciliśmy do autobusu. I znów samochód nasz mknął szeroką drogą, zalaną promieniami słońca. W pewnej chwili daleko na horyzoncie ukazał się dopiero powstający kopiec Wyzwolenia. Ślężacy twierdzą z dumą, że będzie go widać po stronie niemieckiej.

Tarnowskie Góry. Zwiedzamy winiarnię Sedlaczka, w której pijali wino królowie polscy: Sobieski i August II. Ciemna, sklepiona

sień prowadzi nas do wnętrza. Pokoje w tym lokalu niewielkie, panuje w nich półmrok, gdyż okna, zasłonięte firankami, przepuszczają mało światła.

W drodze powrotnej zatrzymałyśmy się w Chorzowie przed fabryką azotu, której mury były świadkami wytężonej pracy Pana Prezydenta. Niestety, nie wpuszczono nas do środka. Długo oglądałyśmy się z żalem za znikającymi gmachami. Na pocieszenie obejrzałyśmy ratusz i lśniący wewnątrz od złota i szafiru kościół Marji Magdaleny, a potem samochód nasz ruszył szeroką, wspaniałą szosą w stronę Katowic.

Krysia Ogórkowska kl. II ga

BIAŁA — BIELSKO.

Dziwne miasta, dziwne: niby jedno, a przecież inna nazwa, inny zarząd. Dzieli je mała i na oko nic nie znacząca, a przecież taka ważna w ich życiu rzeczka. Jaki ten podział dziwny i nienaturalny, bo po co dzielić to, co niczem się od siebie nie różni — ani gospodarką, ani kulturą, ani bogactwem.

Tak myślałyśmy, jadąc wygodnym tramwajem po szerokich ulicach Bielska. Miasto czyste i miłe, wszędzie znać niemiecki porządek. Niemców dużo, tak że każde słowo, wymówione w ojczystym języku, robi miłe wrażenie. Jedziemy do „Cygańskiego Lasu”. Tramwaj staje. Dalej trzeba iść pieszo, ale to lepiej, bo swobodniej możemy oglądać i podziwiać naturę. Ulica powoli przekształca się w aleję, a potem pośród wspaniałego, gęstego lasu pnie się coraz wyżej. W blaskach zachodzącego słońca błękitnieją góry. Slicznie tu. Pierwszy raz widzimy coś podobnie pięknego. Mijają nas grupki dzieci, wracających z wycieczki. Wszystkie pozdrawiają Ks. Prałata: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Cieszymy się. Polskie dzieci! Jak miło spotkać je tu, w tym mieście, w którym jest taki duży procent Niemców.

Tuż przed nami wznosi się wysoka góra, pokryta gęstym lasem. Wspinamy się na nią. Jaki piękny widok roztacza się ze szczytu! Przed nami widnieją Beskidy, spowite w błękitny welon mgieł, a za nami miasło. Wysoko, wysoko sterczy moc kominów, niżej widać wieże kościołów, jeszcze niżej świecą się dachy domów.

Siadamy na małej ławeczce pod wysokimi drzewami, które majestatycznie szumią, jakby chciały nam powiedzieć, że tu pięknie; między nimi moc małych drzewek i krzaków. Wszystko kąpie się w słońcu.

Wcale nie mamy ochoty wracać, ale co robić, kiedy trzeba. Zbiegamy z góry, a potem znów idziemy szeroką aleją — znów wsiadamy do tramwaju i śpiewamy, śpiewamy bez końca. Jakbyśmy chciały w tym śpiewie wyładować całą naszą radość. — Zdziwieni przechodnie oglądają się na nas, ale my nie zwracamy na nic uwagi. Jesteśmy szczęśliwe. Wysiadamy z tramwaju. Wąska uliczka pod starymi podcieniami, mały placzyk i stoimy przed bramą klasztoru, w którym nocujemy.

Rano idziemy nad Białkę; przechodzimy przez most i już jesteśmy

w innem mieście. Trochę chodzimy po niem, ale niedługo, bo musimy jeszcze zwiedzić gimnazjum państwowe (2-gie w Polsce po warszawskim gimn. im. Stefana Batorego) i fabrykę. Ogromny, śliczny gmach szkolny. Przechodzimy przez wspaniałą salę i korytarze, a potem po wąskich schodkach wdrapujemy się na dach, aby spojrzeć z wysokości na miasto.

Pan Dyrektor pokazuje nam, gdzie płynie Białka i gdzie biegną linie kolejowe, które z Bielska rozchodzą się na wszystkie strony.

Wkońcu schodzimy na dół i opuszczamy gmach. Kierujemy się w stronę fabryki sukna. Na wstępie wilkownia. Tu świeżą wełnę chwytają zęby wielkiej maszyny, które ją rozrywają i rozdrabniają. Pracę wilkowni kończy gręplarka. W jej małych zębach włókna zostają ostatecznie rozerwane i ułożone, jak trzeba. Potem w przędzalni powstaną nici, a z nich osnowa. Ślicznie wygląda, jak nici z twardych szpulek zwijają się na bęben.

Przechodzimy dalej. Przy krosnach stoją mężczyźni i przerzucają między osnową czółenka. Tu widać już prawie gotowe sukna. Jeszcze trzeba je tylko wyprać, wysuszyć i naprawić błędy. Robią to robotnice w charakterystycznych bluzkach z bufiastymi rękawami. Potem należy sukno zapakować i już. Właściwie nareszcie, po tylu trudach, po takiej ogromnej pracy — koniec. Gotowe sukno wychodzi w świat.

Ale właściwie to nie koniec i końca nie będzie nigdy. Bo znowu przyjdzie nowa wełna i znów ci sami robotnicy zaczną robotę od początku i tak będzie ciągle.

Wycieczka opuszcza fabrykę, a za kilka godzin i Bielsko. Jeszcze zdaleka widać las kominów, a potem niknie wszystko woddali.

„Wilk” kl. II-ga.

NAD RZEKĄ GRANICZNĄ.

(Cieszyn).

Skapana w potokach złotego światła płynie wolno i majestatycznie rzeka Olza.

W lustrzanej jej tafli odbijają się domy, drzewa, ogrody polskie i czeskie: Olza to rzeka graniczna.

Przepływa i dzieli na pół odwieczne miasto polskie, prastary Cieszyn. Odkąd historia sięga, dalej, odkąd tradycje podają, Cieszyn należał zawsze do Polski. Tu po długim niewidzeniu spotkali się na rynku przy studni trzej książęta śląscy: Bolko, Leszko i Cieszko i na pamiątkę swej radości nazwali miasto Cieszynem.

A teraz... teraz to drogie sercu każdego Polaka miasto zabrane, podzielone, oddane częściowo Czechom.

Więc płacze Olza nad nieszczęściem ziemi ojczystej, przelewa swe fale — łzy bólu i upokorzenia.

— — — — —
W mieście ruch i gwar...

Po ulicach jeżdżą samochody, śpieszą ludzie we wszystkich kierunkach.

Jednym z trotuarów posuwają się zwarte szeregi dziewczynek. To wycieczka szkolna, która przyjechała z innej dzielnicy Polski, by ujrzeć i poznać prastarą dzielnicę Piastów, tak opuszczoną, tak nieszczęśliwą teraz... Koło uczennic widać postać kierownika wycieczki. Jest to poważny ksiądz. Oczy dziewczynek z miłością wpatrzone są w swego przewodnika, który tłumaczy im wszystko, przywołuje na pamięć dawne dzieje.

Zna on tu każdy zakątek, każdą grudkę ziemi... Opowiada o sławnych działaczach narodowych jak Miarka, Stelmach i Londzin, którzy podtrzymywali ducha polskości w czasach niewoli i walki o niepodległość. Do ostatniej kropli krwi gotowi byli bronić umiłowanej Ojczyzny i poświęcić dla niej swe życie. Praca ich nie poszła na marne. Polska podniosła się z jarzma niewoli i wstała wielka, wolna, niepodległa, a Orzeł Biały wzleciał wysoko! Wzbił się pod niebiosa!

Dziewczynki wiedzą doskonale, że i Ksiądz Prałat Ściskała należał również do tych sławnych działaczy, że pracował razem z nimi i nigdy nie szczędził własnych trudów.

W tej chwili mijają właśnie pomnik św. Florjana, opiekuna miasta. Tu Ksiądz Prałat przemawiał szczerze i gorąco do ludu przed mającym się odbyć plebiscytem.

Idąc dalej, dziewczynki widzą ratusz, starą mennicę oraz kościół farny, w którym spoczywają szczątki opiekunów dzielnicy, sławnych Piastów.

Wreszcie dochodzą do mostu granicznego. Widać tu budkę strażnika polskiego, a o kilka kroków dalej powiewają kołysane na wietrze trójkolorowe chorągwie. Jest to już Czechosłowacja.

Na moście bolesny widok uderza oczy. Stoi tu kilkoro dzieci, które wskutek niesprawiedliwego podziału miasta znalazły się wraz z rodzicami po stronie czeskiej. Są oni dobrymi Polakami, to też posyłają dzieci do szkół polskich. Lecz rząd czeski nieprzychylnie na nich patrzy i, mszcząc się, wypędza biednych ze swej ziemi.

Nie mają się gdzie podziać, więc stoją na granicy, oczekując Bożego i ludzkiego zmiłowania. Wolą prześladowanie i niewygodę, niż wyrzeczenie się mowy ojczystej.

Doprawdy, podziwu godny patriotyzm Ślązaków.

Wieczorem dziewczynki poznają całą gromadę dzieci, ale szczęśliwych i radosnych, bo mieszkających tu, na ziemi ojczystej. Mówią ślicznym, polskim językiem, śpiewają piosenki i z zapałem wykonują piękne tańce śląskie: kołomajkę, trojaka i taniec chusteczkowy.

Tymczasem wycieczka posuwa się dalej.

Koło granicy ogląda pomnik legionisty polskiego, którego wzniesiona ręka z wyciągniętym mieczem zdaje się grozić niemiłemu sąsiadowi. Czesi mają o ten pomnik ciągle pretensje do Polaków.

Dziewczęta wchodzi teraz do parku, gdzie zatrzymują się przed starą basztą Piastów.

Z góry spoglądają na nie wielkie kamienie, pamiętające świetne czasy Polski, a zmuszone teraz patrzeć codzien na czeskie stráže graniczne. Straszne... bolesne... smutne...

Nieszczęsne to jakieś miejsce po drugiej stronie Olzy. Tu zginęli koło Cierlicka niezapomniani lotnicy polscy, sławny Żwirko i Wigura. Cześć ich pamięci!

Nakoniec wycieczka dochodzi do wzniesienia, skąd roztacza się przepyszny, ale zarazem smutny widok: na dole most graniczny; wdali migoczący i różnobarwny Cieszyn czeski z powiewającymi dumnie sztandarami.

Oczy dziewczynek zachodzą łzami...

Twarz kierownika wycieczki wyraża wielki smutek, głęboką rozpacz... Duże, świetliste oczy utkwili hen, w dal... Usta jego poruszają się lekko, a z głębi duszy płynie modlitwa do tronu Boga.

Może zostawił on za granicą Polski wioskę rodzinną, brata lub kogoś bliskiego... wszystko możliwe...

Tymczasem wznosi się w powietrze pieśń silna i potężna, pieśń, śpiewana przez młode dziewczęta: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”, a potem: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Potężnieje, nabiera siły i płynie... płynie daleko na stronę czeską, odbija się echem i znowu wraca równie piękna, mocarna i święta... Wznosi się w niebo na chwałę Bogu, na sławę Orłu Białemu, na nieszczęście i lęk wszystkim gnębicielom.

Twarz Księdza Prałata rozpogadza się z wolna, dobry uśmiech wykwita mu na usta. Jego szlachetne serce rozumie dobrze tę pieśń, która spływa do duszy jak kojący balsam.

A na dole płynie ciągle majestatyczna Olza, przelewając z lekkim szumem swe wody.

Jadzia Lipińska kl. III.

U ŹRÓDEŁ WISŁY.

Dalej w góry, w te cudne polskie góry, osnute szarą mgłą, otulone zielonym płaszczem lasów...

Idziemy.

Długa asfaltowa szosa, po obu stronach las, mieniący się tysiącami odcieni i blasków; po lewej ciemny, ponury, po prawej jasny, żywy, skąpany w potokach złotego słońca.

W dolinie płynie Czarna Wisielka. Płynie cichutko, gdzie nigdzie tylko z szumem i pluskiem, ale mimo to można w niej poznać przyszłą potęgę i siłę.

Dochodzimy do zamku Pana Prezydenta. Duży, nowoczesny gmach brzydko odbija od prastarej puszczy. Obok drewniana kaplica, pozostałość po dawnym modrzewiowym pałacyku. Choć mała i skromna wygląda dużo ładniej, tak jakoś swojsko, po naszemu.

Wchodzimy do środka zameczka. Duże, ślicznie urządzone sale zdają się mówić: „Patrzcie, jakie jesteśmy wspaniałe, a to tylko cząstka bogactwa państwa, tylko mała cząsteczka. Ile jeszcze wspanialszych rzeczy ma nasz Pan Prezydent”. Wychodzimy na taras. Śliczny widok roztacza się z niego: przed nami łagodne zbocza, pokryte gęstym lasem; dalej widać ciemne pasmo gór, a jeszcze dalej, jakby jakieś chmurki czy obłoczki, widnieją Tatry. Trzeba wychodzić. Jeszcze jedno spojrzenie i za chwilę pniemy się dalej, na szczyt Baraniej. Idziemy już parę godzin, podziwiając piękne widoki.

Nareszcie! Ks. Prałat oznajmia, że zaraz będzie koniec. Jeszcze tro-

chę wysiłku i jesteśmy na szczycie, na szczycie góry, z której wypływa największa nasza rzeka — potężna Wisła. Koniecznie chcemy zobaczyć źródła, ale cóż — jest ich tyle i takie malutkie, że nie można wszystkich obejrzeć.

Niektóre wyglądają jak małe potoczki, inne to trochę sączące się po ziemi wilgoci. Wszystkie się łączą i zgodnie tworzą wielką rzekę — nie można powiedzieć, czy ten, czy tamten jest jej początkiem, bo każdy sam byłby zginał, wysechł, ale ilość daje im siłę.

Skupiamy się koło Ks. Prałata, który objaśnia nam wszystko i pokazuje. Widzimy stąd błękitniejące woddali Tatry, a nawet Giewont, nic dziwnego, przecież jesteśmy 1214 m. nad poziomem morza.

Wcale pokazna wysokość.

Krótki odpoczynek i wracamy, ale już inną drogą. Szliśmy doliną Czarnej Wisłki, a wracamy Białą. Stroma drożynka wiedzie na dół.

Naokoło bór czarny, nad nami niebo błękitne — i więcej nic. Wszystkie myśli i smutki zostały na dole, a tutaj, na Baraniej jest tylko piękno, stworzone przez Boga, a nietknięte ręką ludzką. Z początku my szliśmy sobie, a Wisłki płynęła sobie, ale nareszcie spotkałyśmy się. Jaka ona jest śliczna! Płynie, pieni się, przeskakuje przez kamienie i głazy. — A nad nią prosta skała, jakby ułożona przez człowieka z wielkich bloków kamiennych. Woda złoci się i skrzy, a i skała ma cudne barwy w blaskach zachodzącego słońca.

Już koniec wycieczki. Jeszcze ostrym szturmem zdobywamy górkę, na którą musimy się wdrapać, aby dotrzeć do naszej stacji.

Przychodzi pociąg i zabiera nas do Bielska, a stamtąd do Marjówki. Szkoda! Wiemy już teraz, że sprawdzą się słowa piosenki:

„Kto raz się wzniósł na szczyty i czołem sięgnął chmur,
Ten zawsze tęsknić będzie do niebotycznych gór”.

Z. Wilska kl. II.

GRÓDEK.

Dużo było hałasu, krzyku, lecz i to się skończyło. Wycieczka śląska, żegnana przez pozostające dziewczynki, wyruszyła w daleką podróż.

Opuszczone „sieroty” nie wylewały jednak gorzkich łez, przeciwnie, z wielkiem ożywieniem rozprawały o wycieczkach, mających się odbyć w najbliższych dniach w okolicy Marjówki.

I oto pewnego dnia, jednocześnie ze wschodem słońca, które w postaci złocistej kuli ukazało się ponad lasem, w sypialniach rozpoczął się ruch i gwar.

Wesołe śmiechy, zdania i napomnienia, wypowiedane w pośpiechu, słyszało się dookoła.

Śniadanie, pacierz, wszystko to przeminęło w niesłychanym tempie.

Wkrótce dziewczynki w kolorowych sukienkach, barwne jak motyle, trzymając paczki i teczki z zapasami, wyruszyły białą drogą w przyjemnym chłodzie wiosennego poranka do Gródka.

Pogoda była cudna, to też i w naszych sercach miast smutku, gniewu gościła radość, objawiająca się w uśmiechu i beztroskiej piosence, płynącej, hen, aż na pola, falujące zbożem i łąki, usiane kwieciami.

Mieniła się ziemia w promieniach gorącego słońca; w bezkresnych błękitach śpiewały skowronki swój pochwalny hymn na cześć Stwórcy; od czasu do czasu przelatywał ciepły wietrzyk, poruszał listeczkami wyniosłych drzew, wznosił tumany pyłu i niknął w pobliskim lesie.

Minęliśmy Zawadę, pełną umorusanych dzieciaków, które, stojąc na progu chaty z paluszkami w buziach, patrzyły na nas z ciekawością.

Jakiś pies, przestraszony widocznie wielką liczbą nieznanych mu osób, wybiegł z budy, stanął, popatrzał i zaczął szczekać. Naturalnie spowodował tem okropny popłoch w szeregu. Mniej odważne podniosły pisk, a gdy i to nie uspokoiło napastnika, wzięły nogi za pas, uznając zapewne, że lepiej zawczasu uniknąć niebezpieczeństwa.

Za wsią droga się urwała, właściwie skasowano ją, o czym nikt nie wiedział. Nie było więc nic innego do roboty, jak zrobić wtył zwrot i maszerować mniej wygodną, wąziutką miedzą...

Tak mała przygoda nikomu jednak nie zepsuła humoru, przeciwnie, stała się powodem jeszcze większego wesela.

Ogromną przyjemność sprawiało przechodzenie pomiędzy wysokim żytem, przeskakiwanie przez doły wypełnione wodą, lub zbieganie z niedużych pagórków.

Po półtorej godzinie, straciwszy wiele czasu na odnajdywanie drogi, gdyż kilka razy zbłądziłyśmy, ujrzałyśmy cel naszej podróży — wioskę Gródek, położoną u stóp góry, porosłej ślicznym liściastym lasem.

Co do powstania tej ostatniej krąg liczne opowieści. Podobno została usypana specjalnie pod gród warowny, który miał na niej stanąć. Stąd też nazwa — Gródek.

Teraz nastąpiło zdobywanie szczytu.

Kręta dróżka, wijąca się wśród rozrośniętych paproci, wyprowadziła nas na rozległą polankę. Skończył się nasz marsz. Rozbiliśmy tu obóz.

Sześć kucharek, wyznaczonych do przygotowywania posiłków, zabrało się żwawo do pracy.

Wkrótce byliśmy nakarmione do sytości wspaniałymi kanapkami i przepyszным zsiadłem mlekiem.

Każde danie zdawało się być podwójnie smaczne, ponieważ pałaszowałyśmy je na świeżym powietrzu, no i do tego na wycieczce.

A wtedy, jak wiadomo, apetyt ma się niezgorszy.

Słońce grzało silnie, złote blaski przeciskały się przez ciemne korony drzew i kładły jasną plamą na zielonym kobiercu mchów.

Drobne kwiateczki wychylały swe główki z pod krzewów, a niestru-

dzzone pszczołki, brzęcząc wesoło, zbierały słodki pyłek. Wdali słowik kwilił, wilga gwizdała przeciągle, jakby się dziwiąc naszej obecności, rozmowom i pieśniom, na które echo figlarnie odpowiadało.

W południe pragnienie dokuczało dziewczynkom. To też, dowiedziawszy się o strumyku, przepływającym przez śliczną łączkę, zerwały się z dziękami okrzykami i nie zważając na odległość, doły, kołące jeżyny, pobiegły po wodę. Wracały, wolno i ostrożnie niosąc wiadro pełne drogiego płynu, aby nie uronić ani jednej kropelki.

Miło zleciał nam czas. Tak prędko jak nigdy.

To też poczułyśmy szczerzy żal, gdy trzeba było zbierać manatki i podążać zpowrotem do domu.

Pożegnałyśmy las szumiący bór i opalone, roześmiane ruszyłyśmy drogą ku Marjówce.

M. Witwieka kl. II.

HUTA, KTÓRA NIE JEST HUTĄ.

(z wrażeń kucharki).

„Raduje się serce, raduje się dusza,

Gdy siedem furmanek do Huty wyrusza”.

Tą naprędce przerobioną piosenką żegnałyśmy Marjówkę (zresztą zupełnie bez żalu), jadąc na wycieczkę do Huty na całe dwa dni.

Hol hol to nie na żarty taka wycieczka!

Zabierałyśmy z sobą nawet kuchnię polową, wszystkie usmolone „frakerki”, czajniki, łyżki, miski, widelce, noże i inne kuchenne graczki. Nie-mało też miejsca na naszych wozach zajmowały zapasy żywności, spoczywające pod czułą opieką kucharek, jadących osobnym wozem i śpiewających wesoło wszystkie mniej i więcej znane piosenki.

Deszczyk trochę pada, wiatr świszcz koło uszu, fura się trzęsie po wyboistej drodze, a mimo to jesteśmy wszystkie (z małymi wyjątkami, jak zwykle) zadowolone z siebie i świata, wesołe, rozbawione.

Nagle... stop!!! Złazić!!!

Straszne piachy! Koń nie może ciągnąć po nich fur z tak pokaźnym balastem, więc chcąc nie chcąc, schodzimy i dłuższy czas odbywamy podróż na „własnych samochodach” „Długo to tak jeszcze? Ja nogi miałam oszczędzać, bo mnie często bolał!” — jęczy któraś mdlejącym głosem.

„Niedługo, panienecki! — pociesza nasz furman. — Zaruśko, a będziemy wsiadać!”

To „zaruśko” było jednak z długim „hakiem” i musiałyśmy jeszcze porządną chwilę brnąć po mokrym piachu, zanim wsiadłyśmy. Teraz za-

to pocziwe koniska rażno pociągnęły nasze „powozy” po nierównej, ale przynajmniej twardej, leśnej drodze.

„Już niedługuśko Huta, zara będzie widać” — objaśnia nasz furman.

„Aha, — myślę sobie — takie to będzie „niedługuśko”, jak przedtem „zaruśko”. Znamy się”.

Tym jednak razem furman nie przesadził, bo rzeczywiście niedługo ukazała się naszym oczom Huta w całej swej okazałości.

„To jest Huta? — szepcze jedna pierwszoklasistka do drugiej. To już? A ja byłam pewna, że to jest jakaś duża huta szklana, a przy niej wieś, dwór z parkiem”...

Jednak gdy oczom naszym ukazała się gęsta, zwarta ściana zielonego lasu, rozległe, ukwiecone pola i nieduża, ale miłutka, wtulona w gęstwę kwitnących kasztanów leśniczówka, gdyśmy poznały przemilych, dobrych i życzliwych jej gospodarzy, to rozczarowanie nasze i niezadowolenie znikły jak sen.

Zsiadamy z wozów. Kucharki z wielce urzędowymi minami rozpakowują zapasy, biorą pod pachę brudne fajerki, kuchnię i, nie zważając na nic i nikogo, maszerują do lasu. Łopatki do rąk i dalejże kopać dół pod kuchnię! No, tak! Łatwo było powiedzieć w Marjówce: „Zrobimy w lesie kuchnię”, ale wykonać to w Hucie, to, to... niebardzo...

Tu korzeń, tu kamień, tu się ziemia usuwa... Uff! Pot z czoła spływa, a kuchni jak nie widać, tak nie widać. Ani rusz! Jesteśmy zrozpaczone! Co robić? Jak zaradzić nieszczęściu?

Gdyśmy tak rozpaczały nad rozpoczętą kuchnią, a właściwie nad dołtem, brnęła ku nam przez las „rada” w postaci pana R., który proponował nam, byśmy się rozgościły w pustych dotąd 2-ch pokojach i kuchni! Nam w to graj!! Łachy pod pachy i dalej na nowe śmieci!

Po chwili w malej, czystej kuchence zrobił się gwar, rejwach nie do opisania, ale zachodziła poważna dość obawa, że nie będzie co jeść.

Bo przecież przysłowie mówi: „Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść”, a nas było jak na złość sześć. Tym razem jednak przysłowie bezczelnie skłamało, bo po stosunkowo krótkim czasie zajaśniały dziewczynki ze smakiem grube, „wycieczkowe” pajdy chleba z masłem, popijając kakao.

Dzień był chmurny, chłodny, padał nawet drobny kapuśniaczek, ale my jakgdybyśmy tego nie widziały, bojąc się powrotu do Marjówki.

Dziewczynki biegały, krzyczały śmiały się, dokazywały. Były wesole i zadowolone, jak rzadko kiedy, a gdy do tego dostały za słony wprawdzie, ale smaczny obiad (z kompotem), zadowolenie wzrosło jeszcze bardziej. Co tam jednak wyrabiały kucharki przy gotowaniu tego obiadu, Bóg tylko raczy wiedzieć i... one same!!!

Z zaprawki do zupy zrobiły im się kluski; musiały robić drugą! Zu-

pa szczawiowa uzieleniła pięknie białą ścianę, kartofle się rozgotowały za bardzo, kompot chciał gwałtem uciec z garnka, a ogień pod blachą wciąż gasł i gasł!

I pomimo tych wszystkich nieszczęść obiad był „wyśmienity” (pominając naturalnie strasznie słoną zupę). Czy to nie jest cud sztuki kulinarnej? Czy nie zasługujemy na uznanie i... jaki taki szacunek?

Chyba tak, ale w tym wypadku szacunku od dziewczynek wymagałyśmy w postaci... zmywania naczyń. Niebardzo to miłe zajęcie, ale pierwszoklasistki zrobiły to tak zwinnie i szybko, jak coś najmielszego.

Później, gdy zrobiłyśmy już swoje, cała paczka (50 sztuk) z księdzem Przygodą na czele udała się do lasu i nad staw w celu robienia zdjęć (w wodzie, przy wodzie, koło wody i gdzie się dało). Przy tej sposobności po całym lesie aż huczało od zdrowego, szczerego śmiechu dziewczynek.

Potem powrót, podwieczorek i obiecana przez p. R. wycieczka w głąb lasu na spotkanie saren. Dziewczynki rozdzieliły się na dwie grupy, a po powrocie każda z nich usiłowała wmówić w nas, pozostałe na „gospodarstwie” kucharki, że widziały sarny. Wprawdzie my, znając aż nadto swoje koleżanki, mocnośmy w to wątpiły (bo podobno sarny nie lubią hałasu), ale trzeba im było potakiwać, by nie wywołać jak to się mówi, wilka z lasu. „Sarnie” wycieczki dobrze widocznie robią na apetyt, bo nasze dziewczynki jadły każda za trzy... Milczały i jadły! Zato po kolacji rozpoczęła się „opera” w stodole na sianie (nasza sypialnia).

Dziewczynki robiły sobie w sianie legowiska jak niedźwiedzie, zagrzebywały się, okrywały kożuchami i wchodziły w worki, ofiarowane przez państwo R., którzy okazali nam wtedy wielką troskliwość i sympatię, znosząc przeróżne kołdry, koce, kożuchy, pierzynki i poduszki.

Dziewczynki wymawiały się, mówiły że im „bardzo gorąco”, że się „duszą” i t. podobne „nieprawdopodobieństwa”, a każda w duchu myślała, jakby tu sobie ściągnąć jak najlepsze okrycie.

Mała córeczka państwa R. Celinka, która zaprzyjaźniła się z komplecistkami, oświadczyła swej mamusi kategorycznie, że w domu spać nie będzie i przeniosła się do stodoły z kocem, kołdrą i poduszką! Zdobyłyśmy zatem jeszcze jednego lokatora. Sąsiadami naszymi były konie, które rżały jakby do wtóru płaczliwym narzekaniom: „Zimno, ach, zimno!” — lub „Czekaj, poskarżę się Pani, że ze mnie koc ściągasz” albo „Leż spokojnie, bo cię wyrzucę do koni” i t. d. Wkrótce uciszyło się zupełnie.

Zasnęłyśmy.

Poranek. Zimno, chmurno! Brr...

Mimo tego kucharki wstają wcześniej, myją się w zimnej jak lód wodzie

strumienia, ubierają pośpiesznie i dalej do kuchni! Tu przynajmniej ciepło! Za chwilę gorąca kawa wesoło bulgocze w czajniku, oczekując na leniuszki, wylegające się jeszcze na sianie, które jednak wkrótce się zjawily zgłodniałe i zziębnięte. Śniadanie znikło w okamgnieniu ze stołu, a dziewczynki wybiegły zwabione słońcem, które wychyliło się z za chmur. Zrobiło się cieplej, a tem samem weselej.

Mały domek opustoszał, w kuchence zostały tylko kucharki, przygotowujące obiad. Co chwila któraś z nich biegła do pani R. bądź to z zapytaniem, dotyczącem kuchni, bądź z prośbą o pożyczenie jakichś „sprzętów” kuchennych, których, niestety, tak nam brakowało. Pani R. zadziwiała nas poprostu swoją dobrocią i życzliwością, za którą byliśmy jej bardzo wdzięczne.

— — — — —
Pakowanie, żegnanie się z państwem R., pożegnalne atrakcje i t. d.; wyjeżdżamy już, niestety!

Zajeżdżają furmanki i wszystkie gramolimy się na nie, a każda myśli z żalem: „Dlaczego tak krótko?” Już! Odjeżdżamy, żegnane przez państwo R. i uprzejmie zapraszone na przyszłą wycieczkę.

Wjeżdżamy do lasu! Huta niknie już! Wszystkie myślimy tylko o Hucie, która nie jest hutą, a w której tak miło czas schodził! A wszystkim, wahającym się nad wyborem wycieczki, radzimy z całego serca: „Jedźcie do Huty”.

Wandzia Ciesielska kl. II

WYCIECZKA GEOGRAFICZNA DO MECHLINA.

Na geografji p. Strzelecka oznajmiła, że we czwartek odbędzie się wycieczka do Mechlina. Przyjęłyśmy to z entuzjazmem. Wszak każdemu wiadomo, iż wycieczka to najprzyjemniejsza rzecz, jaka może istnieć.

Dzień powstał wymarzony. Na niebie ani jednej chmurki, słońce świeci, a u nas w sypialni z tego powodu wielka radość. Dzwonek na lekcje. Wszystkie dziewczynki musiały biec do klasy, a szóstaki obładowane plecakami z żywnością, mapkami sztabowymi i olejkiem do opalania, pędziły z triumfującymi minami szosą w stronę Goździkowa. Od czasu do czasu p. Strzelecka rzucała nam pytania z geografji, ale nie zmniejszało to naszej radości.

Byłyśmy w różowych humorach.

Przeszłyśmy już Stoczki i Zielonkę, wreszcie zatrzymałyśmy się, by spożyć śniadanie przy tym samym kamieniu, gdzie niegdyś zaspokajał swój głód Kazimierz Wielki. Spoglądamy z zainteresowaniem na olbrzymi głaz, płaski, przypominający stół. Umieściliśmy się przy nim wygodnie. Myśl,

że w tem samem miejscu jadł król, dodawała nam apetytu; byliśmy dumne, iż spożywamy przy „królewskim stole”. Było nam bardzo dobrze. Wokoło rozciągały się falujące łąny zboża i lasy. Wszystkie zachwycaliśmy się pięknym krajobrazem, lecz Pani przyzywała nas do rzeczywistości, urządzając małą „powtórkę” z geografji. Całe otoczenie, tchnące radością i spokojem, pobudzało nas do tego, że musiałyśmy odpowiadać dobrze.

Wreszcie wyruszyłyśmy w dalszą drogę, do Mechlina, położonego u stóp dość wysokiego wzgórza. Tu zaczynają się góry Świętokrzyskie i ukochana przez Żeromskiego puszcza jodłowa. Wspinaliśmy się na górę wąską ścieżynką, biegnącą wśród wysokich świerków, grabów i gęstego podszycia. Było tu ślicznie. Drzewa szumiały poważnie, przez ich gałęzie przeźierały się promienie słońca i igrały wesoło po krzewach i liściach paproci.

Wtem przystanęłyśmy z zapartym oddechem. Oto usłyszałyśmy w pobliskich zaroślach śpiew słowika. Któraś odezwała się i śpiew umilkł.

Dochodziła już 2 godz., gdy po przejściu Mechlina, schludnej wioski, rozlokowałyśmy się w lesie na polanie, by zjeść obiad, który smakował nam jak nigdy. Skoro zaspokoiliłyśmy swój głód (co nie jest rzeczą łatwą), rozłożyłyśmy się na ziemi. Szum drzew, śpiew ptaków i palące słońce usposobiły nas do marzeń, no i do snu. Prawie każda ucięła sobie krótką drzemkę.

Lecz niestety, nawet najprzyjemniejsza rzecz ma swój koniec. I my, chociaż z wielkim żalem, czerwone jak raki (skutki olejku), musiałyśmy wyruszyć zpowrotem do Marjówki. Drogę miałyśmy „uprzyjemnianą” pytaniami z fizyki.

Wycieczkę zakończyłyśmy okrzykami na cześć p. Strzeleckiej, dzięki której miałyśmy tak miłą, ostatnią już wycieczkę w Marjówce.

Janka Stępkowska kl. VI.

DRZEWICA.

Ciemny i mglisty poranek.

W Marjówce ruch, bo dziś wycieczka do Drzewicy. Po śniadaniu z ogromnemi zapasami na cały dzień lokujemy się na wozach.

Całą drogę rozmawiamy wesoło, a często śpiewamy piosenki. Wiodocześnie i niebo poweselało, gdyż mgła częściowo opadła i słońce ukazuje swe jasne promyki z poza chmur.

Czekamy z bijącym sercem na zobaczenie tej „sławnej” Drzewicy. Nareszcie stajemy na miejscu. Na pierwszy rzut oka — ot, takie małe,

zwykle miasteczko, co drugi przechodeń to syn Izraela. Zwraca naszą uwagę dość duży staw i niewielka rzeczka.

Warto zwiedzić kościół z oryginalną dzwonnica, otoczony drzewami, malowniczo położony na wzgórku. Styl — gotyki nadwiślański. Wewnątrz ładnie się przedstawia. Ciekawym zabytkiem jest relikwiarz złoty z głową św. Jana Złotoustego. Następnie zwiedzamy fabrykę noży.

Chrzest żelaza, zgrzyt maszyn, miarowe uderzenia młotów elektrycznych oszołomiły nas w pierwszej chwili. Lecz ciekawość nie daje spokoju. „Oto kuźnia” — objaśnia oprowadzający. Z dwu stron w rząd ustawione maszyny i młoty, ziejące ogniem. Wszystko w nieustającym, zawrotnym ruchu i ogłuszającym hałasie.

Tu siedzi młody, wynędzniały chłopiec i kładzie blaszki żelaza pod młot, który, uderzając, nadaje im kształt noży. Monotonnie, równo, podobnie do ruchu tych maszyn poruszają się jego ręce czarne i spieczone. Oczy od nadmiernego żaru zaczerwienione z wyblakłym błękitem tęczy, są wciąż utkwione w spadający młot. Czuje i uważne stoją jakby na straży życia i zdrowia nieletniego robotnika.

Wszędzie gromady żelaza, wszędzie te same schylone plecy, wszędzie oczy wytężone, śledzące poruszenie młota. W innych kuźniach też podobnie.

Pozostajemy pod smutnem, przygnębiającem niemal wrażeniem. To zgrzyt przygniata nas, a więcej jeszcze widok robotników, ich żywot ciężki i mozolny. Potem udajemy się do tokarni. Tu już weselsze twarze pracujących. Dostatecznie żarty dochodzą naszych uszu, nieraz złośliwe. Ale ogólnie pogodniejsza atmosfera.

Ot tam, w rogu ręce robotnika z nadzwyczajną szybkością poruszają się i co chwila wysuwa się nowy trzonek noża, a tu znów spada do skrzyneczki nóż już oprawiony. Praca wre jak w ulu. Przez zakurzone szyby przedostaje się jasna smuga słońca, a w niej miliony drobniutkich pyłków wirują bez przerwy, podobnie jak ręce robotników. Miło w pracowni z tą smugą słońca.

Lecz już wychodzimy do hartowni. Ciemno, tylko w kilku miejscach ogromnej szopy czerwienią się ogniska pod kotłami, lecz robotników tu niema, wyszli na krótki odpoczynek.

Dalej ogromne piece, do których wrzuca się noże i tam w wysokiej temperaturze leżą przez pewien czas, a następnie każdy z nich wkłada się do specjalnej maszyny, która próbuje wytrwałości noży, zginając je. Zauważyłam kilka noży złamanych. Uprzejmy robotnik wyjaśnił, że to wina jakiegoś majstra, który nie dopilnował pracy. Utrzymywał, że jego maszyna niedobrego noża nie przepuści i albo go złamie, albo uszkodzi, tak że nie da się już naprawić.

Następnie udajemy się do pracowni, gdzie ostatecznie czyszczą noże i wybijają firmę. Robotnicy na kamieniach, obracanych elektrycznością,

czyszczą noże. Z pod kamienia wylatuje ogromny słup iskier. Iskry te wzbudzają w nas lęk. Widząc to, robotnicy tem mocniej przyciskają noże, tak niemi manewrując, by snop iskier padał koło nas. W innej pracowni tuziny noży zanurzono w kotle, gdzie wrzał ciemny płyn, i wyciągano je, by obeschły. Suche szlifowano i wychodziły śliczne nożyki. Chciałyśmy na pamiątkę kupić coś, więc udałyśmy się do składu.

Po zwiedzeniu fabryki poszłyśmy na obiad, a później pośpieszyłyśmy do ruin zamku. Ogromny, dziś jeszcze czyni imponujące wrażenie. Z jednej strony otoczony stawem, z drugiej rzeczką, od której odchodzi rów pełen wody, kończący się aż przy drugiej stronie jeziora.

W gładkiej toni jak w zwierciadle odbija się stare zamczysko. Pośrodku są dwa dziedzińce, zarośnięte trawą i chwastami, stoi tam jeszcze kilka wybujałych drzew.

Mimowoli nasuwa się na myśl, że tu kiedyś musiało również tętnić życie i napępiać gwarem to ponure gniazdo. Obecnie jest ono puste. Cztery baszty narożne z małymi w górze okienkami robią wrażenie, że kryją w sobie jakieś straszne tajemnice... Równocześnie zdawały się nas jakby zapraszać do zbadania ich. Napewno znalazłyby się ochotniczki, lecz przewodniczka nie pozwoliłaby wchodzić po złomach muru trochę obuwającego się.

W jednym z ciemnych lochów leży pniak, na którym podobno ścianano skazańców.

W pewnem miejscu na okrągłym łuku fresk kolorowy, już zniszczony, mimo to daje się rozpoznać postać jakiejś świętej, nad nim w murze jest wykuty krzyż. Tu, gdzie kiedyś były piękne komnaty i wspaniałe sale, obecnie rosną drzewa i gnieźdzą się sowy i kawki, które spłoszone naszymi rozmowami usiadły na najwyższej baszcie i kraczą przeraźliwie.

Jeszcze dziś znać, że to była piękna siedziba. Ot, tu na prawo widać gzymsy ozdobne nad oknami. Jak to wszystko się zmieniał! Gdzie się podziała ta moc i potęga rycerzy, którzy tu dawniej przebywali?

Słońce śle ziemi już ostatnie swe blaski i zaczerwienione chowa się za chmurę, zabarwiając krwawo wysoką basztę.

Odchodzimy w poważnym nastroju, a w uszach dzwonią nam słowa: „Sic transit gloria mundi”.

Tola Szczerbińska kl. VII.

DZIAŁ BYŁYCH WYCHOWANEK.

KOCHANE KOLEŻANKI!

Gorącą odezwą o naszym zjeździe w dniu 25 b. m. pewnie już każda otrzymała. Więc zbyteczne byłoby jeszcze raz powtarzać to samo.

Zarząd spodziewa się liczego przybycia Koleżanek. Dużo już odpowiedzi nadeszło od Koleżanek, a także od Pań Nauczycielek.

Przyjeżdżajcie więc, Kochane, do Tych, którzy prawdziwą i szczerą darzyli nas miłością. Choć na chwilę zapomnimy o swoich kłopotach, a wrócimy do naszej beztroskiej młodości. Będziemy się czuć naprawdę dziećmi, przypomnimy sobie nasze figle i psoty, bo to nam ujdzie w ukochanej Szkole, wśród Tych, którzy kochali i kochają swoje Wychowanki.

A więc czekamy, czekamy!...

ZARZĄD K. B. W.

URYWKI Z LISTÓW.

W obecnym numerze Brzasku zamiast artykułu byłych Wychowanek umieszczamy ciekawsze urywki z ich listów.

Urywek z listu Boli Mieszczankowskiej, pracującej w Polonji francuskiej w Le Creusot:

Jedna rzecz, o której się w Polsce nie wie—to szalony nadmiar pracy, bardzo różnorodnej i bardzo wyczerpującej. Nauczyciel we Francji to nauczyciel—społecznik przede wszystkim. Niech się tu nikt nie wybiera, kto nie ma pojęcia o pracy harcerskiej i wogóle organizacyjnej, kto nie potrafi być reżyserem lub kierownikiem chóru.

Co do szkół—to zasadniczo dzielą się na 2 typy: I typ to raczej kurs języka polskiego, na który chodzą dzieci dopiero od 9-ciu lat życia, po lekcjach francuskich, t. zn. po godzinie 17 do 19 ej. Dzieci zmęczone całodzienną nauką (od 8 do 17 z przerwą dwugodzinną na obiad), więc oczywiście wyniki b. nikłe. Tak jest na wschodzie Francji.

II-gi typ szkół—to nauka w szkole francuskiej. Uczę właśnie w takiej.

Mam 160 dziewczynek w wieku od 6-ciu lat do 12. Trzy klasy wyłącznie polskie, t. zn. z dziećmi polskimi, w których to klasach uczą francuskie nauczycielki, a ja mam po jednej lekcji w każdej; w najstarszej klasie mam 3 razy w tygodniu po 1½ godz. (Uczę hist. i geogr., oraz polskiego i śpiewu). Pracę kontroluje przyjeżdżający corocznie inspektor polski. Dzieci w przeciwieństwie do lekcji francuskich bardzo lubią lekcje polskiego, które staram się prowadzić b. wesoło (dużą pomocą są mi piosenki). W klasie nieraz się ma parę poziomów i parę roczników, na czem metoda bardo cierpi. Głównie chodzi o to, żeby były wyniki materialne (program obszerny wyczerpany), oraz o rozbudzenie uczuć narodowych. Francuzi uważają nas jeszcze za nawpół dzikich i szykanują, gdzie można. Tomy możnaby o tem pisać. Dawniej nie wolno było dzieciom mówić po polsku poza lekcją polskiego. Obecnie od paru lat, dzięki dobrym stosunkom mym z dyrektorką, patrzą na to przez szpary.

Wszędzie wyczuwa się walkę o dziecko polskie i walczy się o nie. Po lekcjach w szkole—praca społeczna. Jestem drużynową żeńskiej drużyny

harcerskiej i gromady zuchowej, reżyserką koła amatorskiego, razem z kolegą prowadzę chór, bibliotekarką i referentką oświatową w Oddziale Kobiet — w sumie coś 15 godzin pracy pozaszkolnej przeważnie wieczorowej, kiedy robotnicy wrócą z pracy. Często jadam kolację o 11 w nocy (jeśli wogóle można jeść).

Nauczyciele Polacy są opłacani przez Konsulaty z ramienia Ambasady Polskiej. Suma otrzymywana z przedsiębiorstwa bywa potrącana. W Le Creusot jest koło 180 do 200 rodzin polskich, pracujących w słynnych zakładach amunicji Schneider et Cie.

Jest tu chyba z 10 różnych towarzystw często wzajemnie zwalczających się. Dzielnicowość skrajna. Ludzie przeważnie prości o wybujałych ambicjach i aspiracjach. Praca wśród nich ciężka i niewdzięczna. W szkole uczy chłopców kolega, a żona jego w ochronie francuskiej magodziny polskiego (tak jak ja).

Odpoczynek świąteczny mamy krótki. Ferje na Boże Narodzenie rozpoczynają się dopiero 24/XII o 17 godzinie, rozchodzimy się na 8 dni i to wszystko.

Urywki z listów Celiny Mroczkówny z Wileńszczyzny.

1. Dostałam zatwierdzenie od inspektora na nauczanie religii w 7-u okolicznych wioskach: Montwilliszkach, Podwarańcach, Nowym Dworze, Porojściu, Honcewiczach, Tawsiunach i Dociszkach. Po Bożem Narodzeniu dostanę chyba Ejszyszki, a niektóre wioski mi odpadną. Teraz jeżdżę furmankami. W okolicy jest dużo lasów i w nich wilki, mam nadzieję, że kiedyś jednego z nich zobaczę, tylko nie chciałabym mieć tego szczęścia wtedy, gdy np. będę sama rowerem jechać. Wilki tu grasują, a głównie w zimie. Czasem podobno do domów całemi gromadami przychodzą. Dzieci opowiadały mi następującą historję: Raz dziecko jadło na podwórku obiad. Naraz wilk przychodzi i idzie w stronę chlewni, dziecko chwyciło bat i uderzyło go. Wilk rzucił się na nie, porwał je i zaniósł do swoich wilcząt. Dziecko, chwycione od obiadu, miało łyżkę w ręce i nią broniło się od wilcząt — nie poradziło jednak. Wilki pożarły je. Zboleła matka znalazła w lesie tylko głowę swego dziecka.

W wioskach tutejszych mieszkają chłopci, w innych szlachta zaściankowa, niczem nieróżniąc się od chłopów, tylko tradycją. Zabawne tu jest zaciąganie i nazwy wiosek: Pikiliszki, Buciszki i t.d. i t.d.

2. W wiejskich szkołach łatwiej przeprowadzić lekcje interesująco. Nie raz naprawdę nam duże zadowolenie po lekcji, gdyż z tymi małcami i większymi dziećmi można porozmawiać poważnie o Bogu, o drodze do nieba, zachęcić je do miłości P. Jezusa i zawrócić ze złej drogi. Chłopcy, którzy bili się dawniej i nie słuchali rodziców, teraz poprawili się z tego i starają się być dobrymi. Inny element jest w szkole w miasteczku Ejszyszki. Jest to łobuzeria ostatniego stopnia. Dla nich każdą lekcję trzeba b. dobrze przygotować, by zainteresować. Na początkowych lekcjach sama musiałam całemi godzinami mówić stale coś ciekawego, by nie dać im możliwości gadania. Teraz łobuzy już cicho mi siedzą, lecz mam takiego, że dla niego szatan, piekło nic nie znaczy. Zdaje mu się, że jeśli on wszystkim chłopcom poradzi, starszym umie dokuczyć, to dlaczego nie poradziłby sobie z szatanem.

Ciekawy jest konkretyzm dziecka z II oddz. (chłopca). Mówi mi raz: „Ja gdybym mógł, to wziąłbym świętą książeczkę i poszedłbym do piekła nawracać szatanów, a gdyby mnie chcieli zatrzymać w piekle, uderzyłbym jednego, popchnął drugiego, widłami przebił trzeciego i uciekłbym i co by mi poradzili?” W tymże samym oddziale jest inny chłopiec, który z gruntu jest dobry, ale komik. Na lekcji robi różne miny, podoba mu się — to słucha, nie podoba — to różne figle płała. I co z takim poradzić? Kija nie mogę użyć, boby mnie chyba władza zaraz wyrzuciła. Kazać wyjść takiemu chłopcu za drzwi, to pójdzie z zadowoleniem i co mu zrobić?

Matki nigdy nie słucha, nauczycielki też nie. Jeżeli chodzi o mnie, to lubi mnie i przyrzekł mi, że się poprawi — nie wiem, jaki będzie skutek.

ROZKŁAD MATERJAŁU RYSUNKÓW NA ODDZIAŁ VII DLA ŻEŃSKIEJ SZKOŁY POWSZ. W ŁODZI.

Dla dziewczynek — przewaga zdobnictwa, dla chłopców projektowanie przedmiotów użytkowych.

Wrzesień Omówienie pomocy i przyborów do rysunków (papier blokowy i pakowy, ołówek, węgiel drzewny, akwarel — może być i tempera).
Perspektywa koła. Szkice naczyń (miednica, wiadro, rondel) w różnych położeniach. —
Projekt szlaku na ozdobienie klasy — stylizowane motywy ludowe — kogutki, kwiaty, pawie pióra.
Zakładka do książki — motywy geometryczne. Afisz propagandowy (L. O. P. P.: L. M. K. i L. p.)

Warzywa — ćwiczenia kolorystyczne z okazów z natury. Gałązka dzikiego wina.
Październik. Kompozycja w kwadracie. Dzbana do wody — z natury w ujęciu perspektywicznym. Literactwo — litery blokowe — złota myśl z bajek Krasińskiego (korelacja z polskim).
Szkic perspektywiczny plantu kolejowego — szyn, alei parkowej, czy leśnej w dnie pogodnej.
Zdobnictwo góralskie — projektowanie sprzętów góralskich, skrzyni, czerpaka, parzenie na spodnie górala; motywy zdobnicze: szarotki, leluje, dzwiewciolki — osty, kozlice.

Listopad: Naczynia góralskie: łyżki, sernice, lub szlaki z liści jesiennych. Afisz na akademię 11 listopada.
Kwiat w doniczce w ujęciu perspektywicznym.
Wyświetlanie przez epidjaskop reprodukcji obrazów współczesnych malarzy pogadanka (Stryjeńska, rzeźby Olgi Niewskiej, Fałata) i t. d.
Kula — cieniowanie węglem i kredą na szarym papierze.

Grudzień Ćwiczenia w ujęciu perspektywicznym koła. Zdobnictwo — motywy kaszubskie: mikołajek, szyszki, (korelacja z geogr.) Ćwiczenia kolorystyczne o rozkładaniu barw (tęcza). Świerk, jodła — gałązki z natury (z choinki).
Pogadanki i wyświetlanie reprodukcji współczesnego malarstwa.

Styczeń Szkice zwierząt z natury — węglem i kredą na pakowym papierze.
Zdobnictwo: projekt na ozdobienie talerza, lub dzbana — motywy huculskie.
Sztuka ludowa. Omówienie techniki malowania na glinie, szkłe, porcelanie.
Pogadanki o estetyce wnętrza izby, mieszkania, klasy, sali, świetlicy. Projektowanie sprzętów do świetlicy, skrzynek, półek do kaktusów.

Luty. Dalsze pogadanki o estetyce wnętrza. Projektowanie form użytkowych — godeł rzemieślniczych, herbu Łodzi, akcesoriów teatralnych na przedstawienie szkolne, zabawek.
Szkice perspektywiczne węglem i kredą — grupy drzew, budynków. Malowanie okazów zwierząt i ptaków z natury (wypchanych).
Projekt na afisz na zabawę szkolną.

Marzec Malowanie okazów zwierząt z natury. Pióra z natury (gęsie, pawie, kogula, kraski) — akwarelą, węglem, kredą. Perspektywa sześcianu.
Zdobnictwo — elementy geometryczne w zastosowaniu do literactwa — litery z kół, luków i kresek.

- Wyświetlanie i omawianie współczesnego malarstwa (Wyczółkowski, Małczewski i t. d.)
- Kwiecień** Kwiaty wiosenne z natury i w ujęciu stylizowanym w zastosowaniu do haftu i aplikacji.
Afisz „Orbisu” o wycieczce morskiej. Szkice perspektywiczne na wolnym powietrzu. Dalsze omawianie twórczości współczesnych malarzy, [Korsaka, Styki]. Wycieczka do muzeum regionalnego.
- Maj.** Gałęzie i kwiaty z natury. Ornamenty kwiatowe w zastosowaniu do haftu i aplikacji. Afisz o zabawie leśnej.
Dalsze omawianie twórczości malarskiej w Polsce.
- Czerwiec** Zdobnictwo miejscowe. Udział Łodzi w życiu kulturalnym kraju — stan malarstwa w Łodzi, szkoły przemysłowe.
Architektura współczesna.
Szkice kwiatów i motyli.
Ogólne uzupełnienie.

O NAS.

- Absolwentki Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce z 1932 r:
- 1 Barabaszówna Helena — prawdopodobnie uczy w domu prywatnym w Plancie.
 - 2 Chiberska Jadwiga — pracuje w Centrali K. S. M. we Włocławku.
 - 3 Dejówna Otylja — szkoła powsz. w Skórkowicach.
 - 4 Długoszówna Janina — szkoła powsz. na Kresach.
 - 5 Dzieniszewska Anna — była w szkole pielęgniarek w Warszawie.
 - 6 Gąsiorowska Halina — nie daje znać o sobie.
 - 7 Granatówna Janina — nie daje znać o sobie.
 - 8 Gwarkówna Aleksandra — komplet w uzdrowisku Cisowy Dworek w. kr.
 - 9 Jagodzińska Anna — szkoła powsz. pod Warszawą.
 - 10 Kardaszewska Halina — praca biurowa w Sosnowcu.
 - 11 Kmochówna Krystyna — pracowała w Inspektoracie w Radomiu.
 - 12 Krawczykówna Alicja — szkoła powsz. koło Częstochowy.
 - 13 Krupianka Marja — szkoła powsz. koło Opoczna.
 - 14 Langerówna Irena — obecna Błażejewska wyszła za mąż, mieszka w Lipsku nad Wisłą.
 - 15 Majkowska Eugenia — szkoła zawodowa w Sandomierzu.
 - 16 Michrowska Genowefa — jest katechetką w Kowarach.
 - 17 Myśliwska Eugenia — szkoła powsz. koło Kielczyny.
 - 18 Myśliwska Mieczysława — miała pracę biurową w Krakowie.
 - 19 Szlichcińska Henryka — obecna Stępniova, wyszła za mąż.
 - 20 Szpikowska Helena — katechetka w Gniazdowie.
 - 21 Trześniewska Helena — szkoła powsz. koło Białaczewa.

KRONIKA:

KRONIKA OGÓLNA. 15/IV 36r. O, jakże miło usłyszeć młode, wesole głosy w murach, w których przeszło tydzień panowało milczenie. Zato panna Józia ma zmartwioną minę na widok nowych stosów papierów, porzucanych krzesel, porzucanych rzeczy.

18/IV Dzisiaj obchodzimy imieniny Księdza Dyrektora, chociaż to już tydzień po fakcie. Rano składamy życzenia. Gadają po polsku, gadają po łacinie, ale i połowy nie powiedziały tego, co chciały. Wieczorem dałyśmy „Grube ryby” — nie na talerzu, tylko na scenie.

26/IV. I znów w Marjówce kakaowo-bulkowo-désérowe święto— imieniny Pani Sekretarki. Jedna z uczenic wręczyła Solenizantce wiązanke kwiatów wraz z serdecznymi życzeniami. Wieczorem II-ga klasa wystawiła na scenie „Kalosze” Fredry.

3/V. „Witaj, majowa jutrzeńko, Świeć naszej Polskiej krainie”... Rano szkoła udała się na uroczystą mszę św., a wieczorem gimnazistki odegrały miłą sztuczkę.

4/V. Pierwszy dzień matury piśmiennej. Tematy dość łatwe.

5/V. Matura piśmienna z pedagogicznych. Po obiedzie wypad z Marjówki, żeby na łonie przyrody uspokoić stargane nerwy.

12/V. W rocznicę śmierci I-go Marszałka Polski śp. Józefa Piłsudskiego szkoła udała się ze sztandarem na żałobną mszę św. Po nabożeństwie odczytano w sali teatralnej przy ubranym kirem portrecie wyjątki z pism Zmarłego oraz odśpiewano kilka pieśni.

14—15/V. Matura ustna. Marjówce ubyły 22 uczennice, a społeczeństwu przybyły 22 nauczycielki.

16/V. Dzień formalnie wypchany różnemi sprawami, tak że niema chwili wolnej. Maturalne zdjęcia, przyjęcie w II-ej kl., uroczystość harcerska, wreszcie przedstawienie kl. III i VI wypełniły dzień po brzegi. A bohaterkami dnia tego były maturzystki, dla których to wszystko urządzano.

KURS V. 16/IV. Już po świętach. Seminarzystki powitała zaraz na wstępie miła nowina: matura piśmienna 4 i 5 maja! Rozpakowały więc swe walizki i zabrały się do pedagogów.

30/IV. Ostatni raz lekcje. Po wielu, wielu dniach, spędzonych w trudzie i znoju, usłyszałyśmy: „Nie uczcie się. Wystarczy wam tego oleju, który macie. A jeżeli nie macie, to już mieć nie będziecie.” Niejednej zakręciły się łezki w oczach, bo to tak jakoś dziwnie, że to już, już za trzy dni matura.

14—15/V. W Przysusze, Smogorzowie i Zawadzie, nie mówiąc już o samej Marjówce, chodzi się na palcach i mówi szeptem, żeby hałas nie przeszkadzał ostatnim seminarzystkom w zdobywaniu świadectw dojrzałości. A zdobywają solidnie przez półtora dnia. Warto zobaczyć minę takiej świeżo upieczonej nauczycielki. Wypada z sali jak z procy, z dzikim piskiem chwyta pierwszą osobę, spotkaną na drodze, dusi ją w uścisku i kręci nią jak wrzecionem. Oj, dostać się w takie objęcia, to człowiek zeber się nie doliczy.

KLASA VI 1/IV. „Prima aprilis, nie wchodź do szóstej klasy, bo się omylisz”. W myśl tego powiedzenia „przemile” szóstaki zrobiły kawał na łacinę. Ponieważ onego czasu Pani Łacinniczka stwierdziła, iż mają kapustę w głowach, a tylko Tola posiada trochę oleju, wykorzystaly to i wszystko gotowe. I-sza lekcja łacina. Niema nikogo, zato na każdej ławce widnieje śliczna zielonkawa główka kapusty, u Toli stoi litrowa butelka z napisem: „Olej”. Wprawdzie był to tylko tran, ale to nie szkodziło. Jednem słowem, kawał się udał, było dużo śmiechu i humoru.

2/V. Kiedyś Marysia gadała w nocy. Rano Lilka oburzona i zła, że nie mogła spać, mówi: „Maryśka, uspokój się, bo ty zawsze śpisz przez sen.”

11/V. Do Maryśki na sypialnię przyszła młodsza siostra, a Lilka, kręcąc żółtka z cukrem, pyta: „Słuchaj, Zosiu, czy długo będziesz tu siedziała?” Marysia: „A czy ona ci przeszkadza?” Lilka: „Nie, ale ja chciałam, żeby mi ukręciła kogel-mogel”.

KLASA III. 1/V. — Marysiu, co to jest zero?

— Zero, zero? No, zero to jest punkt wzdęty!

8/V. Na łacinie. Zdaniem jednej z trzecioklasistek Dionizjusz panował 35 lat, mając 25 wiosen. Hm... hm... To ciekawe.

20/V. Na polskim. W jaki sposób są połączone te dwa zdania?

W jaki sposób? A, już wiem! Zapomocą przecinka!

KLASA II. 5/V. Matura. Seminarzystki we wszystkim mają pierwszeństwo i dużo nowych przywilejów. Oczywiście, przyczyną tego jest to, że już ostatnie dni bawią w Marjówce. Wszyscy są dla nich uprzejmi i grzeczni. Wystarczy powiedzieć: „— W imieniu V-go kursu proszę..” albo „seminarzystka prosi”..., a sprawa załatwiona. Dziś nasza Wisia przeistoczyła się w seminarzystkę, ażeby dostać... marchewki.

A było to przy obiedzie. Wisia podchodzi do stolika, a widząc, że jest bardzo długa kolejka, zwraca się do p. Broni i mówi poważnie: „W imieniu V kursu proszę o marchewkę”. To rzeczywiście poskutkowało i Wisia natychmiast dostała to, o co prosiła.

11/V. Lekcja geografji. Pani mówi o wycieczce na Śląsk, która ma się odbyć wkrótce: „Będziecie, dziewczynki, zwiedzały kopalnię, potem będziecie chodzić po hutach” i t. d. Jadzia, która nie dosłyszała, pyta zaniepokojoną: „W jakich znowu butach? — Ja nie mam żadnych butów, mam tylko pantofle”.

18/V. Geografja. Basia prowadzi lekcję geografji i zadaje Bogusi pytanie: „Jakie jest zwierzę pociągowe w Hiszpanji?”

Bogusia namyśla się, potem mówi: — „Lokomotywa”.

20/V. „Słuchajcie, dziewczynki, — pyta pani — z jakiej rodziny pochodzi Waza? — „Z rodziny porcelanowej” — odpowiada z całym spokojem Ziułka.

KLASA I-sza. 28/III. W sypialni wieczorem. Światło jeszcze nie zapalone, więc marzymy. Naraz Hela odzywa się: „Patrzcie, patrzcie, jak spadają meteory!” Spoglądamy w okno z zachwytem, ale i zdziwieniem, bo coś za dużo tych meteorów. W pewnej chwili Jadzia woła: „To nie meteory, to iskry z komina.” Rzeczywiście, co za rozczarowanie!

1/IV. Wandzia mówi: „Ja mam tylko dwa zęby i już koniec!”

„Wandziu, co ty wygadujesz? Czy to ma być żart, czy ironja?” — wołają dziewczynki. Dopiero potem okazało się, iż to nie żart, ani ironja i że Wandzi chodzi o zęby, którymi wykończy się serwetkę.

25/IV. Biednego „Ogórka” z II-giej klasy spotkało rozczarowanie: szukał raz w katalogu jakiegoś wielkiego romansu. Po długiem wybieraniu znalazł: „Tajemnica miłości” — „O! to będzie coś dla mnie” — zawołał. Wziął książkę i wybiegł uradowany.

Wtem wpada do biblioteki i woła wzburzony: „To jest przygotowanie do pierwszej Komunii Św.”

13/V. Ania mówi: „Wiecie, dziewczynki, co, urwał mi się język i muszę iść do szewca”. Zosia: „Co, do szewca, może do doktora?”

„Ależ nie — mówi Ania — bo z butem do doktora się nie chodzi”.

18/V. Zosia pyta Marysię: „Czy było zadanie na brutto, czy netto?” Słyszając to, Krysia odpowiada: „Tak, na brudno”.

PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3 50.

Redaktorka odpowiedzialna: IRENA WITKOWSKA.

Adres Redakcji: SEMINARJUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW.